Rok 1898. Lwów, dnia 17. października. Nr. 41.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela

Dokończenie.

Gdy się teraz innemi oczyma jej przypatrywał i nie widział w niej nic więcej, prócz głębokiej dla siebie nienawiści i podrażnionej dumy kobiecej; gdy wszystkie brzydkie wady duszy Malwiny wypełzły na jego spotkanie na jej oblicze, — zupełnie inaczej przedstawiała mu się ta zimna piękność, dla której omal że nie poświęcił szczęścia swego i Niny.

Nagle widząc, że gniew jej, malujący się w jej oczach, nie działa bynajmniej piorunująco na Albina, że ma do czynienia nie ze sentymentalnym, błagającym o przebaczenie kochankiem, lecz z mężczyzną zdeterminowanym, przybrała minę słodszą, głos ułożyła do tonu pieszczotliwego i zarumieniwszy się oraz spuściwszy oczka jak pensjonarka, półgłosem wyszeptała:

— Przyszedłeś pan nareszcie...

Była pewną, że w tej chwili ujrzy Albina u stóp swoich; chciała go nawet sama do tego ośmielić, bo nie podnosząc oczu czekała.

Ale Albin nie spieszył się wcale. Podniósłszy oczy, spotkała się z tym samym u niego obojętnym wyrazem twarzy, co pierwej, a rączka jej delikatna ze złości tłumionej rwała koronki ubrania. Jakże teraz radaby była, ażeby zamiast tych nitek niewinnych, Albin w jej rączki się dostał!

Za całą odpowiedź znalazł dla niej trzy tylko wyrazy:

— Jak pani widzisz...

Musiała zacząć inaczej; kapitulować nie chciała. Porzuciła ton słodki przemówienia i znowu dumnie jak królowa, wyrzekła.

— Przyznam się panu, że nie spodziewałam się po nim tyle odwagi, ażebyś pan przekraczał próg mego domu po tem co zaszło.

Popatrzył na nią pytająco i nie wypadając z równowagi, spytał.

— Czy wolno mi zapytać, czem sobie zasłużyłem na takie gorżkie ze strony pani wyrzuty? ja bowiem...

— No zapewne! — przerwała mu, — kiedyż to który z panów świata, jakeście się dumnie nazywać zwykli, przyzna się do błędu w obec kobiety, która mu zaufa?!

— Zdaje mi się, przynajmniej jestem tego pewny, że nie nadużyłem zaufania pani i jeżeli chwilowe zapomnienie się — tu zniżył głos, jakby się bał podsłuchania — było powodem gniewu ze strony pani, to mocno żałuję, ale...

— Ale co? — zawołała półgłosem, czerwieniejąc z gniewu i podnosząc się z miejsca — powiesz pan zapewne, że i ja...

— Ja, pani, nic nie mówię; nie mam sobie nic a nic do wyrzucenia, a przynajmniej nic takiego, coby mój honor względem pani na szwank narażało.

— Dziwne pan masz pojęcie o honorze, mój panie — odparła z goryczą. — Więc wyzyskanie chwilowej słabości kobiety, uważasz pan za coś, co się zgadza z honorem, więc można potem tę kobietę zostawić na pastwę jej myśli i nie troszczyć się więcej o nią?!

Albin nie mógł jej nieprzyznać trochę słuszności. Miała rację do pewnego stopnia, bo takby to niby wyglądało, jak mówiła, a w takim razie jego postępek nie był istotnie bardzo honorowym. Tak! — miałaby wielką rację, gdyby w tym wypadku był wolnym, gdyby go nie wiązał węzeł małżeński, o czem przecież wiedziała Malwina, zawiązując z nim stosunek miłosny. Milczał, bo przecież nie mógł rzucić w oczy Malwinie bolesnego zarzutu, że bałamuciła cudzego męża.

W tej chwili uzyskała nad nim pewną przewagę, a wrodzony spryt kokietki powiedział jej, że się znajduje na dobrej drodze do upokorzenia Albina. Na szczęście była jednak niedość ostrożną, że nie czekając na jego odpowiedź ciągnęła dalej:

— Powołasz się pan zapewne na obowiązek względem... względem żony... nieprawdaż? — i roześmiała się ironicznie.

Wspomnienie żony przypomniało Albinowi, poco właściwie naraził się na słuchanie tylu i takich impertynencyj,

jakie w dość krótkim przeciągu czasu od Malwiny usłyszał. Zebrał się więc na całą odwagę i odpowiedział nie spuszczając oka z Malwiny:

— A czy pani o tem zapomniałaś, czy nie brałaś w rachubę tych moich obowiązków, z którymi się liczyć muszę?

— Liczysz się pan teraz — przerwała mu gwałtownie — ale nie liczyłeś się pan wprzódy, gdyś się był liczyć powinien.

Zniecierpliwiła go ta szermierka na słowa z kobietą, która, jak to jasno widział, pragnęła go za każdą cenę sprowadzić z drogi obowiązku. — Widział, że tylko śmiałem cięciem rozetnie ten krępujący mu duszę węzeł, i że tylko tym sposobem wyjdzie z tej matni, w którą wpadł nieopatrznie.

— Proszę pani! — zaczął, — oszczędźmy sobie tych przykrych słów i wyrzutów, które do niczego nie doprowadzą, a są równie bolesne dla mnie, być może bardzo winnego, i dla pani, w obec której jako kobiety, muszę mieć cześć i względy.

— O! bardzo pan jesteś rycerskim, bardzo! panie Albinie!

— Nie przerywaj mi pani, proszę — pozwól mi dokończyć. Otóż tak nie dojdziemy do żadnego rezultatu. Dobrze więc, przyznaję, żem sobie niegodnie względem pani postąpił, przyznaję, że byłem może lekkomyślny; być może, że nie zdałem sobie dokładnie sprawy z uczucia, jakie dla pani powziąłem. Wszystko to może być prawdą, ale proszę, niech mi pani powie, co ja mam począć właściwie i co ja mam zrobić?

— Ach! mój panie! honor pański, na który się pan odwołujesz, powinien panu raczej niż ja powiedzieć, co pan masz uczynić i jak wyjść z honorem z tej sprawy.

— Dzięki ci pani za te słowa — zawołał Albin z zapałem — otóż to odpowiedź iście godna kobiety wielkiego serca!

— Tylko bez komplementów mój panie! — syknęła urażona słowami, które na ironię wyglądały.

— Nie pani! bynajmniej ci komplementów nie prawię; mówię to tylko, co mi rozum i serce dyktuje w tej chwili. Rozum powiada mi, żem powinien wrócić na drogę zapomnianego w chwili szału obowiązku; serce wskazuje mi powrót do tej, którą kocham prawdziwie i która mnie kocha całem sercem i całą duszą.

Jakby ją żmija ukąsiła, tak rzuciła, się Malwina usłyszawszy te słowa, wypowiedziane przez Albina jednym tchem niemal z niekłamanym zapałem. Nie spodziewała się tego, ażeby jej tak otwarcie, bez ogródek wypowiedział, iż niema dla niej ani iskry uczucia — choćby namiętności nawet. Wiedziała, że upadły wszystkie jej plany: i zemsty nad Niną i upokorzenia niewiernego kochanka, po którym się tyle spodziewała. Jedyne co jej teraz pozostało, co mogło jej dać jakie takie zadowolenie za śmiertelnie obrażoną dumę, było to, że mogła go upokorzyć słowami, choć sama wiedziała, że są bez treści. Raz więc jeszcze ubrała twarz w wyraz najwyższej pogardy i patrząc z góry na Albina, przez zaciśnięte z gniewu usta, syczała:

— Więc pocóż pan właściwie przyszedłeś?.. poco? mogłeś pan oszczędzić sobie i mnie tego, o czem dysputujemy, a bez czego byłoby się między nami obeszło.

— Przyszedłem — odparł Albin spokojnie, — bo nie chciałem, ażebyś mnie pani uważała za człowieka bojaźliwego; przyszedłem, bo mi tak honor i sumienie — i — niech to panią nie uraża — i jej własny honor — nakazywały. Jeżeli pani sama nad tem dobrze pomyślisz, przyznasz, że nie mogłem, nie powinienem inaczej postąpić.

Nastąpiło po tych słowach głębokie milczenie.

— Nic mi pani na to, panno Malwino, nie odpowiesz? — spytał Albin — a więc uznajesz pani słuszność mego powiedzenia, bo przecież nie można inaczej...

— Tak! — siląc się na spokój odpowiedziała, i nie dodawszy ani słowa więcej, odwróciła się od Albina, patrząc w okno.

Mógł uważać rozprawę za skończoną i pobyt jego w salonie Malwiny wydawał mu się już dłużej niepotrzebny.

— Żegnam panią — wyrzekł, biorąc za kapelusz.

— Żegnam panią — powtórzył, widząc, że Malwina nie odwraca się do niego, i wolnym krokiem ku drzwiom postąpił.

Już ujął za klamkę, gdy Malwina szybko ku niemu podeszła. Policzki jej pałały, z oczu tryskał ogień, ale nie było w nich więcej widać tłumionego gniewu, ni tej głębokiej nienawi ci z jaką go, gdy przyszedł, powitała. Wyciągnęła ku niemu dłoń i gdy nawzajem podał jej swoją, czuł jak drżała.

Byłażby to miłość istotnie? — Albinowi dziwnie się koło serca zrobiło, ale był już zupełnie mężczyzną i potrafił zapanować nad sobą Nie! ta kobieta nigdy go nie kochała, czuł, że nie mogła ani jego, ani nikogo pokochać. Poco miał się łudzić i dręczyć siebie dalej kaprysami samolubnej kokietki?

Wahanie się to trwało jedno mgnienie, ale nie zdołało zachwiać postanowieniem Albina.

— Żegnam panią — szepnął — myślę, że nie rostajemy się jak nieprzyjaciele?

Wysunęła dłoń swoją z jego dłoni i uśmiechając się smutno, odpowiedziała:

— Ani jak przyjaciele... Żegnam...

Albin skłonił się w milczeniu i wyszedł.

Gdy kroki jego ucichły w przedpokoju, Malwina rzuciła się na kozetkę, zakryła twarz dłońmi a łkanie wstrząsało jej piersią. Nie był to żal za straconym kochankiem, ile raczej bolesne uczucie, że ten, którego pragnęła usidlić, ten jedyny, który mógł się tem poszczycić, że ją, dumną lwicę salonową, trzymał w swem objęciu, że ten wzgardził nią i rzucił wtedy, gdy była pewną, że się jej powabom nie oprze, że zapomni dla niej o wszystkiem, o świecie całym, o Ninie i że pójdzie za nią gdzie zechce, jak wierny pies za swoim panem.

Gdyby nawet świat był się o tem dowiedział, co ją świat obchodził?.. Dawno już przestała się liczyć z pobłażliwą i tak opinią świata w którym żyła. Obecnie rzeczy się zmieniły. Świat jej, który by był kiedyś uznał fakt dokonany choćby był nawet skandalem, nie byłby miał i nie miał istotnie litości dla pokonanej i wzgardzonej. Nie miała w tem otoczeniu więcej co robić. Za granicą, na Rivierze, gdziekolwiek bądź, byle nie tu, poszuka nowych zdobyczy dla swych samolubnych zachcianek i zapomni o tem wszystkiem, co ją tak straszliwie tu dotknęło.

Raz powziąwszy postanowienie, zawołała na służbę i rozkazała pakować do podróży,

Albin nie spodziewał się, wychodząc od Malwiny, by ta chwila rozstania na zawsze, tak silne uczynić mogła na nim wrażenie. Miękkie miał serce i to co było u Malwiny jedynie wynikiem bezsilnej nad nim niemocy i złości, brał za uczucie serdeczne. Ale na co mu się zdała teraz analiza tych uczuć? Skończył raz na zawsze z tą trapiącą go od tak dawna zmorą i gdy ochłonął z pierwszego wzruszenia, gdy dobrze rozważył, że dobrze się stało, to co się stało i tak jak się stało, odetchnął, czując w sercu jedynie lekki wyrzut, że może zbyt ostro

przemawiał do dawnej kochanki i może za wiele obraził jej dumę kobiecą.

Choć pilno mu było stanąć przed Niną, jak grzesznikowi, który swe grzechy u stóp konfesjonału zostawia, — nie spieszył się jednak. Potrzebował po tej dusznej atmosferze salonu Malwiny zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, zasilić zdala od domu wyczerpaną swą energię i zdobyć się na całą siłę woli, aby raz na zawsze przestać myśleć o czarnookiej piękności. Puścił się więc mimo dość późnej pory na dalsze ulice miasta, a przechadzka ta i chłód zimowego wieczoru, zrobił swoje. Znacznie spokojniejszy niż dotąd, niż przed wyjściem z domu, powrócił do niego.

Nie bez tego, aby nie drżał lekko, wstępując do swego mieszkania. Byłożby to wypływem wewnętrznego niepokoju, czy też przeziębnięcia na ulicy na chłodnem powietrzu? —

Nina czekała go w saloniku; przywitała go mile, jak zwyczajnie, nie wypytywała o nic, zdawała się tylko czytać w jego oczach, jakim do domu powrócił. Zdradziła się tem, bo zauważył, że nigdy, a może bardzo dawno tak mu się nie przypatrywała.

Śmielej już teraz patrzał w jej oczy i choć chwilami pod wpływem jej spojrzeń wzrok ku ziemi opuścił, nie było w nim tej tajonej obawy, co pierwej, raczej wstyd dziecka, złapanego po spełnionej psocie.

Wypili razem herbatę, potem swoim zwyczajem usiedli przy kominku, na którym wesoło ogień błyskał. Nina rozsiadła się na plecionej kołysce, Albin usiadł u jej stóp na podnóżku. Nic do siebie nie mówili; ona tylko jak zwykle poczęła gładzić mu włosy nad czołem. Przypomniał sobie, że tak samo, niby złe myśli rozganiając, gładziła mu czoło, kiedy po raz pierwszy namiętność do Malwiny w nim rozgorzała. I teraz pochwycił jej ręce, długo trzymał przy ustach rozpalonych, jakby ją przepraszał za jakąś winę spełnioną i Nina uczuła na nich niby dwie łzy, które zwilżyły jej dłonie.

Nachyliła się nad nim i całując go w czoło — szepnęła:

— Zostaw mężusiu... ja się nie gniewam na ciebie...

Podniósł oczy załzawione ku niej, a było w nich tyle wyrazu gorącej miłości, tyle szczerego żalu i przywiązania, że całując go powtórnie, znowu szeptem dodała:

— Ja się nie gniewam; ja wszystko wiedziałam...

Nie potrzebował jej dawać wyjaśnień, któreby mogły znowu zmącić ich spokój. Pochwycił ją w objęcia, tulił do siebie, pieścił i całował, zapewniając, że ją tylko jedną kochał niezmiennie.

Oboje przytuleni do siebie, płakali, ale były to łzy szczęścia, bo przekonali się, przeszedłszy przez cierpienie, że dla siebie byli stworzeni, i że miłość w nich żyła, pomimo pokus czarnookiego szatana — Malwiny.

U NASZEGO ZNAKOMITEGO PISARZA

PRZEZ

OKTAWA MIRBEAU.

Pokój sypialny, umeblowany bogato, lecz z rażącym brakiem gustu. Część sprzętów w stylu Ludwika XVI, reszta zaś w stylu angielskim.

„Nasz znakomity pisarz“ spoczywa jeszcze w łóżku i gorączkowo przerzuca poranne dzienniki.

ZNAKOMITY PISARZ (mnąc niecierpliwie dopiero co przeczytany dziennik) To łotr ten Mareuil! I pomyśleć sobie, że zaprosiłem go onegdaj na obiad, a to bydlę nie poczuło się do obowiązku napisania chociażby paru wierszy o mnie w dzisiejszej swej kronice! No, no, kochanku, długo poczekasz na nowy u mnie obiadek... Mógłby kto myśleć, że zapraszam tych nicponiów dla własnej przyjemności... dla miłego ich towarzystwa! Nie do uwierzenia jaka to bezczelność z ich strony... nie do uwierzenia... (Do pokoju wchodzi służący).

SŁUŻĄCY. Proszę pana — znów jeden z reporterów.

ZNAKOMITY PISARZ. A który?...

SŁUŻĄCY. Ten, który przychodzi co tydzień interwiewować pana.

ZNAKOMITY PISARZ. Ach, ten idjota... Toż będzie mnie znów zanudzał... No, niechaj wejdzie.

SŁUŻĄCY. Czy pan każe go wprowadzić tutaj?... do sypialni?...

ZNAKOMITY PISARZ. Tak, do sypialni. Już zna mój salon, pokój stołowy, bibliotekę, gabinet w którym pracuję, gabinet w którym częstuję cygarami... zna nawet kuchnię, korytarze i water-closet. Niechajże dziś pozna resztę mieszkania... jeszcze nie widział mojej sypialni i ubieralni.. trzeba coś robić dla urozmaicenia tła na którem mnie ogląda... tak, przyjmę go dziś tutaj, w sypialni..

SŁUŻĄCY. Pan bardzo rozumnie to wykalkulował... oj tak... to będzie zupełnie coś nowego... będziemy mieli ciekawszy artykuł; będzie miał co opowiadać...

ZNAKOMITY PISARZ. Tylko mój kochany zajmij że się umiejętnem przygotowaniem pokoju.. Porozrzucaj od niechcenia bilety wizytowe z głośniejszemi nazwiskami... Tak, wszędzie, na stole, na kominku, na dywanie, rozłóż kilka listów z zaproszeniami, ale uważaj, niech to zręcznie wygląda, od niechcenia, z szykiem, ale od niechcenia.

SŁUŻĄCY, O pan wie, że mam wprawę w takiem przygotowaniu pokoju, przecież często to robię, wyrobiłem się, mam takt, nie chwaląc się, wszak pan był zawsze zadowolony?

ZNAKOMITY PISARZ. Tak, tak. A teraz przynieś moje nowe pudło podróżne, wiesz ten neseser z Londynu...

SŁUŻĄCY. Czy pan każe przygotować rzeczy do podróży?... Pan może dziś wyjeżdża?...

ZMAKOMITY PISARZ. Ależ nie. Przynoś prędko neseser... Postawisz go na stole i roztworzysz, zamknięty nie wywarłby wrażenia... Uważaj, czyś o niczem nie zapomniał?..

SŁUŻĄCY (rzucając spojrzenie dokoła). Nie, wszystko jest w porządku. jak się należy.

ZNAKOMITY PISARZ. Możesz go wprowadzić. Idź.

(Służący wychodzi a po chwili ukazuje się we drzwiach reporter. Mały, drobny, zezowaty, z uniżoną miną, składa ukłon pełen szacunku i z pochyloną postawą usprawiedliwia się, stojąc przy drzwiach salonu).

REPORTER. Drogi mistrzu, przepraszam, najmocniej przepraszam za najście o tak rannej godzinie, może przerwałem sen?...

ZNAKOMITY PISARZ. (wyciągając dłoń do uścisku). Ależ nie!... i owszem, niezmiernie rad jestem, że cię widzę, chodź, zbliż się, niech cię powitam...

REPORTER (zbliżając się z nieśmiałością i wciąż kłaniając się z uniżoną grzecznością). Dziękuję, dziękuję, lecz lękam się czy nie jestem zbyteczny?.. Czy nie przeszkadzam?..

ZNAKOMITY PISARZ. Ty nie możesz mi przeszkadzać, jesteś moim przyjacielem, bądź u mnie jak w domu; przecież wiesz, mój drogi, że nie przyjmuję cię, jako dziennikarza, lecz jako osobistego przyjaciela...

REPORTER. Mistrzu, drogi mistrzu! jakże dumny jestem...

ZNAKOMITY PISARZ. Zasługujesz być moim przyjacielem, zatem sobie tylko podziękuj... Tak, tak, mój drogi, jesteś jednym z najlepszych naszych publicystów, masz talent i jaki talent!...

REPORTER. Mistrzu, jakże mam dziękować za twą łaskawą pobłażliwość...

ZNAKOMITY PISARZ. Tu nie może być mowy o pobłażliwości z mej strony, masz talent, prawdziwy talent. Twój wczorajszy artykuł jest wprost znakomity.

REPORTER. Drogi mistrzu... Twoja dobroć...

ZNAKOMITY PISARZ. Siadaj, dlaczego nie siadasz? nie myśl, bym tak zaraz ciebie wypuścił. Zostaniesz na śniadaniu, musisz zostać, zrobisz mi tem prawdziwą przyjemność...

REPORTER. Nie śmiem nadużywać...

ZNAKOMITY PISARZ. Zostaniesz, powiadam ci, że musisz zostać, śniadanie będzie za dwie godziny, w samo południe, będziesz musiał się zadowolnić czem chata bogata, *menu* już ułożone, zmieniać za pózno; będziemy mieli jajecznicę z truflami, kuropatwy z truflami, wątróbki kacze z truflami i sałatę z trufli, to i wszystko, bo deseru nie liczę, cóż jak myślisz, nie będziesz pokrzywdzony?...

REPORTER. Dziękuję, najmocniej dziękuję, tylko lękam się, czy nie będę zbyteczny?...

ZNAKOMITY PISARZ. Lubię twoje towarzystwo. Wreszcie każdy, kto ciebie zna, oddaje ci sprawiedliwość, wszyscy moi bliżsi znajomi cenią cię wysoko, zapewniłem ich o twoim talencie... Wiedzą, że masz talent, dopytują się o ciebie.

REPORTER. Drogi mistrzu!.. tyle dobroci...

ZNAKOMITY PISARZ. A teraz rozmawiajmy... Niezmiernie lubię z tobą rozmawiać.. (Reporter zaczyna się rozglądać; okiem znawcy lub komornika ocenia każdy mebel w sypialni). Cóż?... patrzysz na moje sprzęty, nie znałeś ich?.. Wszak jeszcze nigdy nie byłeś w mojej sypialni?

REPORTER. Nie, dotąd nie miałem tego szczęścia...

ZNAKOMITY PISARZ. Podoba ci się?.. Mów otwarcie po przyjacielsku, znam wybredny i przedni twój gust, mów więc śmiało...

REPORTER. Prześliczny pokój!.. Tylko, ty mistrzu, mogłeś stworzyć coś podobnego... Nie jeden książe mógłby ci pozazdrościć. Pyszna całość, wspaniała sypialnia. (Wyjmuje zwitek papieru z kieszeni, ołówek i zaczyna notować). Pozwalasz drogi mistrzu?...

ZNAKOMITY PISARZ. Ależ naturalnie, pozwalam, z całego serca pozwalam. Ale pamiętaj o naszej umowie, wolno ci mówić o mnie co zechcesz, ale jako o twoim osobistym przyjacielu... Przed dziennikarzem byłbym mniej otwarty... Lecz przyjacielowi wszystko wolno...

REPORTER. (Ogląda każdy sprzęt, każdy gracik i zapisuje). Prześliczne wspaniałe!.. (Staje przed stołem, na którym jest rozłożony neseser). A to jeszcze wspanialsze...

ZNAKOMITY PISARZ. Wygodny gracik, co?.. Sprowadziłem go z Londynu, niema jak Londyn... To mój ostatni sprawunek, jeszcze go nie używałem... Czy wiesz z ilu sztuk składa się to cacko?.. Policzyłem... Jest tego sto pięćdziesiąt dwa. Ale też wszystko tam jest co najpotrzebniejsze, co do codziennego użytku niezbędne, więc rozumiesz, w podróży to wygodna rzecz mieć wszystko pod ręką, wszystko razem zebrane... Lecz dość drogo zapłaciłem. Okrągłe pięć tysięcy franków.

REPORTER. Pięć tysięcy franków?.. (zapisuje). Śliczny, wspaniały neseser!

ZNAKOMITY PISARZ. Wszystko obecnie kupuję w Londynie... Wszystko, przekonałem się, że to najdogodniej... W Paryżu nie mogę znaleźć tego właśnie co mi potrzeba... Francja upada, nie mamy szyku... Oddawna to spostrzegłem, więc kapelusze, bieliznę, obuwie, rękawiczki, wszystko, mówię ci: wszystko sprowadzam z Londynu.. Wreszcie bawi mnie to sprowadzanie z za morza. Czasami osobiście tam dojeżdżam, w kwestjach ważniejszych. Naprzykład byłem w Londynie przed miesiącem dla wybrania krawatów, pod tym względem nie spuszczam się na nikogo, przywiozłem sobie dobór na cały sezon, sto trzy.

REPORTER. Sto trzy krawaty na sezon?.. Krawaty kupione w Londynie, wszystkie, wszystkie bez wyjątku?... (notuje).

ZNAKOMITY PISARZ. Kupiłem przy tej sposobności czterdzieści par obuwia wszelkiego rodzaju, na wszystkie potrzebne zmiany.

REPORTER. Czterdzieści par obuwia... (notuje).

ZNAKOMITY PISARZ. Rozumiesz mój drogi, że zwierzam ci to jako przyjacielowi, chcę wierzyć, że zapisujesz te szczegóły dla swego osobistego użytku, jako przyjaciel a nie jako dziennikarz.

REPORTER. Drogi mistrzu, ileż doznaję radości gdy z naciskiem przypominasz mi o przyjaźni swojej!... Jest to dla mnie zaszczyt... (Zaczyna czytać nazwiska na biletach wizytowych, rzuca wzrok na listy porozkładane). Mistrzu, czy wolno?...

ZNAKOMITY PISARZ. Jesteś moim przyjacielem, więc możesz czytać nawet prywatną moją korespondencję.

REPORTER, (zapisując nazwiska osób zapraszających *mistrza* na obiady i bale). Zawsze się domyślałem, że musisz mieć mistrzu szalone powodzenie w najwyższych kołach towarzyskich, lecz to zdumiewające — ile otrzymujesz zaproszeń!

ZNAKOMITY PISARZ. Nie mówny o tem! Jest to czarna strona mego życia, świat mnie nudzi, nudzi... Lecz cóż chcesz, jestem zmuszony pokazywać się pomiędzy ludźmi... Chodzę więc do nich, lecz pogardzam ich przyjemnościami życia, tak, pogardzam...

REPORTER, (oglądając haft na jedwabnym sprzęcie w rodzaju pudełka). Do czego to służy? jakie to cudowne, co za haft!...

ZNAKOMITY PISARZ. To moje pudełko od chustek do nosa. Wyhaftowały je zbiorowo panie z naszej arystokracji, moje czytelniczki...

REPORTER, (z ożywieniem). Czy mogę wiedzieć nazwiska tych wielbicielek?

ZNAKOMITY PISARZ. O co to, to nie! Wreszcie po co?!.. Wszak cały Paryż zna na pamięć całą ich listę... Opowiadają nawet wprost niemożliwe historje, przesadzając szczęście, jakie mam do kobiet. Zaledwie część jest w tem prawdy. Paryż jest miastem plotek, jest to wprost wstrętne, nigdzie nie można się pokazać z młodą ładną i znaną kobietą, by natychmiast nie podejrzywano o najbliższe stosunki... Zrażony jestem tem plotkarstwem, jestem bowiem ciągłą jego ofiarą i wierzaj mi, że przesadzają; często, bardzo często jest trochę przesady w kursujących o mnie anegdotkach.

REPORTER, (nabierając śmiałości). Drogi mistrzu, wiemy że jesteś pogromcą serc niewieścich, a twoje przygody miłosne zadowoliłyby dziesięciu...

ZNAKOMITY PISARZ. Tak, nie przeczę... Lecz są to sprawy prywatne, nikt nie powinien w to wglądać... Cóż to kogo obchodzi, że księżna X, hrabina Y, lub markiza Z, ma pewne dla mnie względy, i że czasem która z tych pań odwiedza moje kawalerskie mieszkanie... Powtarzam, że są to sprawy prywatne, wreszcie wszystkie te panie są tylko przyjaciółkami mojemi, dusze nasze sympatyzują, ręczę ci, że jest tak a nie inaczej...

REPORTER, (z powątpiewaniem a potem natarczywie). Masz zupełną słuszność, drogi mistrzu, mówiąc, że są to sprawy prywatne... Lecz właśnie z powodu obiegających po mieście plotek czy nie uważasz, mistrzu, za słuszne, za potrzebne odwołać niektóre z krążących legend?.. Możnaby nie wymieniać nazwisk, aluzja wystarczy, każdy się łatwo domyśli... Rozporządzaj mną mistrzu, jestem na twoje rozkazy...

ZNAKOMITY PISARZ. Może być, że kiedykolwiek poproszę cię o coś takiego... Liczę na twoją przyjaźń i na twoją dyskrecję... Dam ci notatki prawdziwe, a ty ułożysz je po swojemu, zrobimy to razem, lecz nie teraz, dopiero przy zdarzonej okazji naprzykład przed ukazaniem się mojej przyszłej książki.. To posłuży za punkt wyjścia, bo teraz nie widzę żadnej szczególniejszej przyczyny, by zbyt głośno o mnie mówiono. Trzeba oszczędzać wywoływania sensacyjnych wrażeń... Lecz mówmy o czem innem...

REPORTER. Właśnie chciałem cię zapytać, drogi mistrzu o powieść, jaką masz zamiar wydać temi czasy. Wszyscy o tem mówią, wszyscy tylko tem się interesują.

ZNAKOMITY PISARZ. Naprawdę?... Wierzaj mi, że mnie przerażasz! Nienawidzę rozgłosu, nienawidzę, by się mną zajmowano, cóż to za straszliwy ciężar sława! Tą sławą jestem znużony, znudzony!...

REPORTER. Drogi mistrzu!...

ZNAKOMITY PISARZ. Tak, jestem znużony i znudzony! Sława, otaczająca moje nazwisko, działa na mnie przygnębiająco, nie należę do siebie... Ach, jakże zazdroszczę losu tym, którzy żyją nieznani!... Szczęśliwi!.. podczas gdy ja, jestem niewolnikiem, wolność nie do mnie należy!.. Chwilami pragnę śmierci, w niej dopiero doznam pożądanego spokoju!... A ty mówisz, że już pochwycili mnie na nowo z powodu mojej zapowiedzianej powieści?... Któż taki i co o tem mówią?...

REPORTER. Świat cały ma oczy zwrócone na ciebie mistrzu! A dzienniki przepełnione są pochwałami dla ciebie...

ZNAKOMITY PISARZ. Ach, ja nieszczęsny! Czy wiesz że dla pozyskania choćby ułudnej samotności zaprzestałem czytania dzienników... Czytuję tylko twoje artykuły...

REPORTER. Mistrzu! Jakże ci mam podziękować...

ZNAKOMITY PISARZ. Lecz powiedz mi w krótkości, co mówią dzienniki o mojej przyszłej powieści?...

REPORTER. Zapowiadają twój utwór mistrzu jako arcydzieło, które wstrząśnie umysłami świata całego...

ZNAKOMITY PISARZ. Nie mylą się pod tym względem... Nigdy nikt nie wyraził w powieści tak sensacyjnego poglądu na miłość, ten odwieczny, niewyczerpanie zawiły problemat... Teza moja jest śmiała i oryginalna, nic więcej powiedzieć ci dziś nie mogę.

REPORTER. Drogi mistrzu!... drogi mistrzu...

ZNAKOMITY PISARZ. Wierzę w twoją przyjaźń... Powiedz, czy zechcesz oddać mi wielką usługę?...

REPORTER. Ciałem i duszą do ciebie należę, mistrzu.

ZNAKOMITY PISARZ. Przygotowałem notatkę o mojej nowej powieści... Otóż pragnę, abyś ją zamieścił w swoim dzienniku i pod swojem nazwiskiem...

REPORTER. O, jakże jestem szczęśliwy!...

ZNAKOMITY PISARZ. A teraz, czas już wstawać, pozwolisz, bym się zaczął ubierać w twojej obecności?... (Dzwoni na służącego). Przejdziemy do mojej ubieralni... Jeżeli chcesz, możesz notować... Mam swój system tualetowy... Przed tobą, jako przed przyjacielem, nie ukryję żadnego szczegółu, wszystko możesz zapisać... Zwracam twoją uwagę na urządzenie mojej ubieralni...

(Wchodzą do sąsiedniego pokoju, wielkiego, bogato zastawionego tualetowemi przyborami).

REPORTER. Wspaniałe urządzenie! Przepyszne... (notuje).

ZNAKOMITY PISARZ. Wszystko to sprowadziłem z Londynu...

(Rozmowa trwa dalej).

KONIEC.

TEATR W AMERYCE.

Teatr w Ameryce z małymi wyjątkami opiera się na podstawach zupełnie innych niż w Europie. Teatrów stałych ze stałemi trupami i repertuarem urozmaiconym, prawie nie ma tam zupełnie. Teatry w Ameryce liczą na tysiące, artystów i artystki na dziesiątki i setki tysięcy, lecz związku ścisłego pomiędzy jednymi a drugimi nie ma. Towarzystwo artystów łączy się ściśle nie z teatrem lecz ze sztuką. Takie towarzystwo pod wodzą antreprenerów, którymi często bywają wybitniejsi artyści lub artystki, uczy się jakiejś sztuki, zakupionej u autora, a następnie, rozpoczyna wędrówkę z miasta do miasta, a w mieście dużem, jak New-York, z teatru do teatru i przez wiele tygodni gra bez ustanku jeden i ten sam utwór. W Ameryce nic nie dzieje się bez niezliczonej liczby pośredników. Oni też wzięli w swe ręce

sprawy teatralne i podjęli się dostarczania teatrom trup i trupom teatrów. Tym sposobem „booking“ (sprowadzanie trup na pewne sezony do teatrów) zrobiło się profesją specjalną i skoncentrowało się w rękach kilku większych agentur. Niekiedy agentury te same zakupują sztuki i organizują towarzystwa. Naturalnie, iż w takich warunkach znaczenie agentur stopniowo rosło i wreszcie dosięgły one olbrzymiego rozwoju. Każdy z antreprenerów musi się dziś z niemi liczyć tak, jak np. kupiec cukru do pewnego stopnia zależeć musi od fabrykanta tego produktu. I kiedy kolejno zaczęły powstawać w Ameryce syndykaty cukrowe, tytoniowe i inne, to nic dziwnego, że i wszystkie większe agentury okazały chęć zjednoczenia się i utworzył się jeden olbrzymi „Troost“ syndykat, który posiadł władzę absolutną i nad antreprenerami i nad trupami, nad wielkimi artystami i dramaturgami. Plan ten z początku wydawał się nieprawdopodobnym do urzeczywistnienia. Zdawało się, iż pole pracy artystycznej różni się wielce od pola działalności fabrycznej. Lecz nowatorowie, zbadawszy tę rzecz bliżej, doszli do przekonania iż interesy teatralne i literackie można także ująć w formę wielkiego przedsiębiorstwa handlowego.

Do syndykatu przystąpiło sześć wielkich agentur: z New-Yorku, Filadelfji, San-Francisko i Louisvillu. Jako główni organizatorowie wystąpili pp. Erohman z New-Yorku i Nauman z San-Francisco. Samo zjednoczenie tak odległych punktów wskazuje na cel, iż postanowiono zagarnąć sprawy teatralne w całej Ameryce od oceanu Atlantyckiego do Cichego. Syndykat, zorganizowany w tajemnicy, przystąpił do urzeczywistnienia swego planu. Zaczął więc pocichu najmować teatry, zakupywać sztuki i zawierać kontrakty z trupami artystycznemi z jednej strony a właścicielami teatrów z drugiej. Pod władzą teatralnego „troostu“ znajdują się obecnie miasta: Brooklin, Baltimore, Waszyngton, St. Louis. Detroit, Toronto, Buffalo, Denwer, Omaha, Louisville, New-York, Filadelfja, Pitsburg, Chicago, Nowy Orlean, Boston, Kanzascity, Cincinati, Toledo, Prowidens, Memfis i wiele innych. Szereg tych nazw daje pojęcie o rozległej władzy syndykatu.

Syndykat posiada obecnie w absolutnej swej władzy dwadzieścia wielkich teatrów, które eksploatuje na swój rachunek. Trudniej niż z właścicielami teatrów było poradzić sobie z trupami teatralnemi, a zwłaszcza ze znanymi z talentu artystami, którzy przywykłszy do rządzenia, nie tak łatwo godzili się na pozycję zwykłego najemnika. Najpierw zwyciężeni zostali właściciele teatrów, z którymi walczono długo zanim przemieniono ich z niezależnych obywateli w sługi agencji. Ale syndykat przedstawiał im olbrzymie zyski z tej kombinacji. Utrzymując ścisłe związki z wieloma trupami, był w stanie dostarczać artystów taniej, powtóre syndykat zobowiązywał się na wypadek niepowodzenia jednej trupy niezwłocznie dostarczać nową i tym sposobem chronić właściciela przed nieprzyjemną perspektywą trzymania teatru pustkami lub oglądania pustek na widowiskach niepopularnej trupy. Dostać zaś nową dobrą trupę wśród sezonu bez pomocy syndykatu było rzeczą wcale niełatwą.

Ale najważniejszą przynętę stanowiło to, iż w rękach syndykatu znaleźli się niektórzy najwybitniejsi artyści i najpopularniejsze sztuki, bez których właściciele teatrów obchodzić się nie mogli. Publiczność amerykańska niewolniczo hołduje modzie; jeżeli np. w New-Yorku miała powodzenie „Trilby“, to właściciel teatru w Buffalo musi mieć „Trilby“ za jakąbądź cenę...

Tym sposobem w rękach syndykatu znalazło się 50 do 60 teatrów, oprócz nabytych na własność dwudziestu wielkich teatrów. Jednocześnie postępowała robota: z artystami i trupami artystycznemi. Tym ostatnim uśmiechała się możność natychmiastowego engagement, kiedy w innych warunkach trzeba było poświęcać na to kilka tygodni. Przytem w miarę jak syndykat zagarniał ważniejsze teatry jeden po drugim, coraz trudniej było wyszukać sobie teatr bez jego pośrednictwa. Przekonano się o tem dokładnie, gdy jeden z najgłośniejszych artystów amerykańskich, Francis Wilson, pokłócił się z jednym z właścicieli „troostu“ i przez czas bardzo długi nie mógł nigdzie znaleźć miejsca. Zdarzenie to tak nastraszyło wszystkich artystów, iż od tej pory znaczenie syndykatu urosło.

Syndykat teatralny istnieje wszakże dopiero od lat dwóch, a w czasie tak krótkim jego organizacja nie mogła się rozwinąć ostatecznie. Istnieje jeszcze dużo większych teatrów, pozostających po za obrębem „troostu“, jest także dużo niezależnych trup i artystów. Pomiędzy syndykatem a „niezależnymi“ toczy się naturalnie walka, która ściąga na siebie uwagę prasy.

Jeden z największych teatrów nowo-yorskich wynajęła trupa niezależna od syndykatu na przedstawienia „feerie“: „1999“. Trupa ta posiadała potężnych „backerów“, t. j. protektorów z pieniądzmi i dla tego mogła odważyć się na walkę z syndykatem. Właściciel teatru był jednak zależnym od syndykatu, któremu z dawnych rachunków pozostał winiem 40.000 dolarów. Kontrakt z trupą, posiadającą sztukę „1999“, zawarł bez wiedzy syndykatu, który nie mógł pozwolić na istnienie trupy, demoralizującej całe jego interesy teatralne. I oto „troost“ pod groźbą całkowitej ruiny skłonił właściciela teatru, by wszelkiemi siłami starał się zapobiedz powodzeniu „1999“. Więc w „interwiewach“ z reporterami ganił sztukę, a krytyka ta, pochodząca od samego właściciela teatru, miała naturalnie swoje znaczenie, najmował klakę do sykania i przeszkadzania orkiestrze, w czasie widowiska nie dopisywało oświetlenie gazowe i elektryczne. Trupa cierpiała długi czas, lecz w końcu zmiarkowawszy co się święci, zdecydowała się na środek ostateczny i zapozwała do sądu zarówno właściciela teatru, jak i właścicieli syndykatu. W celu obrony interesów trupy przeznaczono do teatru cały oddział szeryfów. Powstał stąd skandal ogromny. Całą tą sprawą zainteresowała się prasa, a gazeta „New-York World“ podjęła się walki z syndykatem. Gazeta ta codziennie umieszczała artykuły z nowemi odkryciami i przed oczami zdumionej publiczności roztoczyła obraz skomplikowanej maszyny, o której rozmiarach i sile nie miało pojęcia nawet wielu artystów, pozostających w jej władzy. Gdy tak niespodzianie zdradzono wszystkie tajemnice syndykatu i artyści przekonali się, w jakiej niewolniczej pozostają od niego zależności, wtedy zaczęła pomiędzy nimi kiełkować myśl walki.

Dziennik „World“ w gorących artykułach wstępnych wykazuje, jak szkodliwy wpływ na scenę ma obecny układ stosunków. Nie ulega wątpliwości, iż w sferach teatralnych amerykańskich znalazła się pewna liczba artystów, którym leżały na sercu interesa sceny. Należy wszakże mieć na uwadze, iż scena w Ameryce z małymi wyjątkami znajduje się na poziomie tak niskim, iż mowa o sztuce prawdziwej brzmi tam wprost naiwnie. Féeries, farsy, melodramaty, których zalety główne polegają na dekoracjach — czyż to można nazwać sztuką? Ale zarówno „gwiazy“, jak i zwykli aktorzy, prędko zorjentowali się, jaka olbrzymia siła eksploatacyjna spoczywa w organizacji syndykatów: w szczególności czuły upokarzające swe położenie „gwiazdy“, które zeszły do roli prostych najemników. Pomiędzy „gwiazdą“ a zwykłym najemnikiem istnieje tylko ta różnica, że pierwszą nie zawsze łatwo bywa zastąpić, że publiczność chce przedewszystkiem

widzieć swego ulubieńca, a nikogo innego na jego miejscu. Ta okoliczność daje „gwieździe“ niezaprzeczoną wyższość nad nad antreprenerem. W sporze pomiędzy artystami a syndykatem, dzięki agitacji „Worlda“, publiczność stanęła po stronie artystów i energicznie ich popierała. Kiedy w Filadelfji niedawno popularny artysta amerykański Mansfield żegnał się na ostatniem przedstawieniu z publicznością, ta zażądała od Mansfielda „speechu“, ale sprytna dyrekcja, chcąc dogodzić syndykatowi, poleciła spuścić kurtynę i przeszkodzić mu w mowie, wiadomo bowiem było powszechnie, iż Mansfield wystąpi przeciwko „troostowi“.

Polegając tedy na swej sile, wybitniejsi artyści i artystki zaczęli kolejno oświadczać, iż zrywają na zawsze z syndykatem, ale największy opór syndykatowi stawiło „Actor's Society of America“. Stowarzyszenie to liczy obecnie 1.500 członków i należą do niego najlepsi aktorzy amerykańscy Ma ono cele najrozmaitsze, lecz do specjalnej walki z syndykatem organizuje się obecnie „Association for Protection of the American stage“, do którego *in corpore* ma przystąpić całe „Actor's Society“. Naturalnie i „troost“ nie pozostaje w bezczynności: pisze odezwy do redakcyj, drukuje usprawiedliwienia i t. p. To są ustępstwa dla opinji publicznej. Lecz żeby utrzymać wpływ na artystów, używa środków ostrzejszych i formalnie terroryzuje ich.

Jakie drogi do walki z syndykatem wynajdzie projektowana „association“, do tej pory niewiadomo jeszcze i dla tego trudno przepowiadać, czy usiłowania te uwieńczy dobry skutek Wybitni artyści mogą często dyktować swe warunki i antreprenerom i nawet syndykatowi. Kto jednak upomni się za biedakami, których z łatwością można zastąpić w ciągu dwudziestu czterech godzin?

Nie ulega wszakże wątpliwości po czyjej stronie stanie opinja publiczna. Chociaż gusty publiczności amerykańskiej są nader umiarkowane lecz razi ją każda zależność absolutna. Numery „New-York Wordla'a“ przepełnione są dziś listami i odezwami, pochodzącemi od ludzi z najrozmaitszych warstw społecznych: artystów, profesorów, senatorów, krytyków literackich, chwalących jednomyślnie redakcję za energiczne podjęcie kwestji teatralnej. Być może, iż rezultatem tej akcji będzie reforma, której teatry amerykańskie bardzo potrzebują.

Józef Szron.

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Rozdział XIV.

Reudona nie mógł złożyć swej zwykłej wieczornej wizyty chorej w hotelu, ponieważ zażądano jego natychmiastowej pomocy w domu Giorgia. Pod wieczór choroba dziecka znacznie się pogorszyła, gorączka osiągnęła wysoki stopień, i na jaw wystąpiła niespodziewanie dyfterja w swej złośliwej formie.

Dziecko położono do łóżka, a Erminja nie odstępowała go ani na chwilę. Z obawą i strachem śledziła wszystkie najmniejsze zmiany na małej, bladej twarzyczce, a gdy słyszała jak mały krzyczał na pół stłumionym głosem, oczy i serce biednej matki napełniały się łzami boleści. Dopóki słońce padało jeszcze na szyby w oknach, zdawało się jej, że widzi jeszcze błysk nadziei, ale skoro tylko zaczął zapadać zmrok, sądziła, że noc kładzie swe żałobne szaty na małe cierpiące ciałko i czuła, jak w jej piersi gromadziły się łzy i ściskały jej serce.

Cała służba była w ruchu, nie pozwalała jednak nikomu wchodzić do pokoju chorego. Znajdowała się tam sama, w tym wielkim pokoju, pełnym mrocznych cieni, obok małego chorego, który od czasu do czasu poruszał rączkami, jakby błagał o pomoc. Ani jedno słowo nie przemknęło się przez jej usta, w milczeniu toczyły się łzy po jej policzkach, a gdy usłyszała kroki w przyległym pokoju zwracała pełen obawy wzrok ku drzwiom, aby zapytać Reudonę, który przychodził co godzinę, o jego pierwsze wrażenie. Oczy stawały się suche, gorączkowe, zadawała kilka pytań lekarzowi i zawiadamiała go w krótkich i nerwowo wyrzucanych słowach, o spostrzeżeniach, jakie poczyniła o przebiegu choroby.

Około dziewiątej przyszedł Carlo, bardzo wzburzony.

— Co się stało? zapytał stroskany. — Twój służący napędził mi porządnego strachu.

Ściskając go silnie za rękę, dała mu znak, aby mówił cicho, a potem wybuchnęła płaczem.

— Tam, spojrz tylko na biednego małego! — odparła z łkaniem i podniosła zasłonę nad kołyską. — Patrz tylko, jak cierpi.

Gdy usłyszał te rozpaczliwe słowa i zobaczył łzy, wypływające z głębi serca biednej matki, poczuł, iż i jemu w oczach wilgotno.

Płacząc w milczeniu, spojrzała na niego Erminja.

— Ty przynajmniej kochasz to biedne dziecko — mówiła półgłosem, ale przenikającym tonem, widząc go płaczącego. — Nie odchodź, mamy przecież tylko ciebie, on i ja.

W tej chwili wszedł doktor, kazał sobie przynieść światło i zbliżył się w milczeniu do chorego dziecka, podczas gdy inni obecni w pokoju rozmawiali tylko szeptem i chodzili na palcach.

Światło rzucało żółtawy blask na poduszkę. Nikt nie odważał się oddychać, dopóki Reudona nie powstał znowu, odstąpił od łóżka i nie postawił świecy na stole.

— W ostatniej godzinie nie pogorszyło się wcale — odparł powoli na gorączkowe pytanie, które wyczytał

w oczach Erminji. Oddech jest jeszcze dosyć wolny, a jednak... musimy przedsięwziąć małą operację, a gdy ta się uda, dziecko będzie uratowane.

— Czy bolesna? — zapytała matka z drżeniem.

— Nie... nie bardzo.

Biedaczka ukryła twarz w dłoniach, podczas gdy lekarz napisał kilka wierszy na swym bilecie wizytowym i poszedł do przedpokoju, aby służącemu wydać polecenia.

— Musimy przecież zawiadomić twego męża — zawołał Carlo.

— Telegrafowałem już do Giarre — odparł Reudona, gdy Carlo rzekł do niego to samo, widząc milczenie Erminji.

— Ależ majątek Giorgia leży, stąd o półtorej godziny drogi! Czy nie lepiejby było wyprawić posłańca, który zna drogi polne?

— O tem już także myślałem. Może przybędzie wcześniej. Poślemy Józefa.

Erminja siedziała z zaciśniętemi usty, złożonemi rękami i szeroko rozwartemi, patrzącemi jakby w pustkę oczyma, i nie mówiła nic. Zdawało się, że morze goryczy napływa jej do piersi i żył na szyi.

— Pojadę — rzekł Carlo — będę szybszym niż inni.

— Nie — zawołała teraz Erminja drżącym głosem i przytrzymała go za rękę — Ty nie! Nie zostawiaj nas i ty samych!

Nareszcie przybiegła zdyszana i pani Ruscaglia. Dopiero późnym wieczorem dowiedziała się o poważnym zwrocie w chorobie wnuka. Uściskała Erminję, a ta na piersi matki wybuchnęła na nowo głośnym płaczem.

Płakali wszyscy, jakby biedny Jaś już nie żył, tylko Reudona pozostał spokojny.

— Tylko odwagi, kochani przyjaciele — rzekł. — Tak daleko jeszcze przecież nie zaszło; powiadam wam, że nie trzeba jeszcze tracić nadziei.

Po słowach doktora nastąpiło przykre milczenie. Pani Ruscaglia jęczała w jednym kącie kanapy dla siebie, doktor chodził powoli po pokoju tam i napowrót, Erminja siedziała w nogach łóżeczka, pożerając małego oczyma, a Carlo stał obok niej oparty o poręcz łóżka, nie ruszając się i nie oddychając prawie wcale.

Z ulicy dolatywał hałas i turkot powozów. Od czasu do czasu przebiegał jakiś ulicznik i ryczał pieśń majową na całe gardło.

Myśli matki z szybkością błyskawicy przebiegały najważniejsze wydarzenia w krótkiem życiu małego chorego: słyszała znowy jego pierwszy krzyk, ten krzyk, który najpierw zbudził jej instynkty macierzyńskie, przypomniała sobie, jak po raz pierwszy dała mu piersi, jego pierwszy uśmiech, z którym na nią spojrzał, pierwszą czapeczkę, którą dla niego sama zrobiła, gdy jeszcze czekała na niego, pierwszy dzień, gdy wydał się jej bledszym niż zwykle, pierwszą wizytę doktora i cichą radość, gdy ten rozwiał jej obawy... a potem doszła do dzisiejszego poranka, gdy podniosła zasłonę kołyski i znalazła swoją małą istotkę w tej okropnej gorączce.

Przypomniała sobie znowu wszystkie zamki na lodzie, które budowała, widziała go wzrastającego pod swem okiem i chodzącego do szkoły, słyszała w przyległym pokoju jego szybkie kroczki i słodki głosik, wołający na nią mamo — zdawało jej się, że już zna dźwięk tego głosu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Nowa powieść. „Wędrowiec" rozpoczął drukować nową powieść Rodziewiczównej p. t. „Magrat".

Nowa książka. Nakładem „Głosu" warszawskiego wyszło dziełko Henryka Spencera p. t. „Instytucje zawodowe". Przekładu z oryginału angielskiego dokonał p. Jan Stecki.

W Kijowie w operze tamtejszej śpiewa p. Myszuga. Na pierwszy swój występ wybrał rolę Jontka w „Halce" Moniuszki

Przekłady. Wiedeńska illustracja „Alte und neue Welt" rozpoczęła druk powieści Sienkiewicza: „Quo vadis" w przekładzie E. i R. Ettingerów. Powieść zdobią wspaniale wykonane chromolitografje i drzeworyty według rysunku malarza wiedeńkiego A. Rothauga.

W teatrach warszawskich wystawione będą w ciągu najbliższych dni następujące nowości: „Taboryci" dramat Stanisława Kozłowskiego, „We czworo" krotochwila Marjana Gawalewicza, oraz: „I co teraz?" komedja z konkursu „Kurjera Warszawskiego".

Na występy gościnne do Warszawy przybyć mają p. Józef Kotarbiński z Krakowa i p. Laudowa-Horzicowa z Pragi. P. Horzicowa zamierza wystąpić w rolach: Magdy w „Gnieździe rodzinnem", Katarzyny w „Madame Sans Gêne" i w. i.

Jednoaktówka p. Madejskiego p. t. „Albo niebo albo piekło" odegrana w Warszawie w zeszłym tygodniu, doznała bardzo zimnego przyjęcia, głównie ze strony krytyki tamtejszej.

Wystawa obrazów Styki w Pradze cieszy się wielkiem powodzeniem.

Padarewski ma w zimie b. r. przybyć do Warszawy i da kilka koncertów.

Nowe obrazy. Na wystawę Salonu artystycznego" w Warszawie nadesłano w ostatnich dniach następujące nowe obrazy: Józefa Rapackiego „O zachodzie". Franciszka Kostrzewskiego dwie akwarele „Wśród lasu" i „Cykliści"; W. Betleya trzy studja główek kobiecych i widok „Zamek na Pieskowej Skale"; E. Wrzeszcza „Wąwóz"; T. Zaleskiego „Krajobraz"; F. Wastkowskiego „Widok na tle zimowem"; E. Lindemana akwarele „Przy studni" i „Podwórko". W dziale religijnym Salon wystawił dużych rozmiarów rzeźbę z drzewa, wyobrażająca „Chrystusa na krzyżu".

Piotr Loti napisał dramat p. t. „Jeanne Renaudin", który odegrany zostanie w Paryżu w miesiącach zimowych.

Z Florencji donoszą, że znany historyk i archeolog Franceschini odnalazł na starym cmentarzu kościoła Santa Croce grób wielkiego rzeźbiarza Ghibertiego, twórcy sławnych rzeźb florenckich, o których Michał Anioł powiedział, że są godne aby je ustawiono w raju.

Towarzystwo dla rozwoju sztuki ruskiej zawiązało się we Lwowie.